

Pseudokatolicka V Kolumna

Numer 59(94)
1 Października 2016

W numerze m.in.:

Strony 1, 3, 14 i 15

Pseudokatolicka V Kolumna

Strony 2 i 3

Honores mutant mores, sed raro in meliores

Strona 3

Wycieczka Komisji Europejskiej do Polski

Strony 4, 5, 6, 8, 9, 10 i 11

Bohaterowie zapomniani: W 45 rocznicę akcji braci Kowalczyków w Opolu—Część 1

Strona 7

Uśmiechnij się...

Strony 12 i 13

Cud beatyfikacyjny ks.
Władysława Bukowińskiego -
Uroczystość beatyfikacyjna 11
września 2016 roku

Strony 13 i 16

Parlament Europejski na straży
bankrutów?

Strona 16

Z życia Polonia Semper Fidelis:
Spotkanie z Senator RP Anną
Marią Anders



Kiedy w dniu 29 czerwca 1972 r. w święto Apostołów Piotra i Pawła, ówczesny Ojciec Święty Paweł VI wygłosił wobec kardynałów, korpusu dyplomatycznego oraz licznie zgromadzonych wiernych w bazylice św. Piotra homilię o coraz silniejszym ataku Szatana na Kościół Katolicki, była ona silnym głosem, przestrzegającym przed trucizną moralnego nihilizmu, pojawiającego się we współczesnym świecie. Mówił on wówczas

Ciąg dalszy na stronie 3

Znamy doskonale pierwszą część tego porzekadła, do przecinka, przypominającą nam, że *zaszczyty zmieniają obyczaje*, ale nigdy nie spotkałem jego dalszego ciągu, a brzmi on: *lecz rzadko na lepsze*. Prawda zawarta w tym powiedzeniu jest banalna, ale tak to się, niestety, dzieje, że do banału się przyzwyczajamy i go po prostu nie zauważamy. Ale, co tu dużo mówić, on często w jedynie trafny sposób charakteryzuje człowieka. Banalem stało się słowo autorytet odniesione do konkretnego człowieka. A przecież ma ono potężną siłę nośną. Uznanie jego zobowiązuje. Owszem, gdyby fundament tego autorytetu była prawda. Do rządu takich autorytetów nie może się wcisnąć żaden kuglarz, samochwał, albo ktoś potrzebny jako atrapa, a mający takich sponsorów, którzy zdolni są zrobić z muchy orła. Ponieważ nie znam się zupełnie na wokalistach różnych odmian i tego, co dziś nazywa się muzyką, sprowokowałem kiedyś w USA w rozmowie z czcicielem jakiejś idolki, rzekomo niepowtarzalnego talentu, jego bardzo fachowy wykład na temat: co jest potrzebne, żeby kogoś wylansować? Muszę przyznać, że mój rozmówca nie szedł na łatwiznę i nie powtarzał fraz kolorowych tygodników. Kiedy ośmieliłem się zakwestionować poziom występów jego ulubienicy, zasypał mnie gradem informacji na temat jej kariery i stwierdził, że w jej przypadku ani łóżko, ani biznes, ani nic innego, ale po prostu traf, że ją zauważył jakiś kompetentny menedżer zespołu beatowego wyniosły ją na estradę. Nie chcąc tak bez walki skapitulować, przytoczyłem jeszcze dwie, trzy artystki, moim zdaniem, bez talentu. Zgodził się bez zastrzeżeń. Ale dodał, że w biznesie rozrywkowym decyduje często sponsor mający wobec „wschodzącej gwiazdy” zobowiązania i worek kasy. Jeśli zechce głębiej do niego sięgnąć, to z małpy zrobi primabalerinę. To jego słowa. A jak? Po prostu na liście płac musi mieć także znanych żurnalistów.

I oto cała tajemnica zarówno sponsoringu jak i dłuższej czy krótszej – na ogół takiej właśnie – kariery.

Pouczające. A rzecz w tym, że w polityce dzieje się podobnie. Przypadkowi ludzie pną się ku górze, jednym się udaje innym nie, bo gdzieś się zawahali, komuś odmówili, nie weszli do jakiejś klik. Odpadają raczej ci najlepsi, o ile miarą jest przyzwoitość i sumienie. Pozostaje w każdym układzie ledwie garstka takich, którym rzeczywiście chodzi o państwo, ogół narodu, którzy nie zapomnieli 10 przykazań. Niestety, tych zapominałskich coś w tych 27 latach Polski niepodległej (?) jest zdecydowanie za wiele.

Ostatnio, pomijam wygłupy tzw. opozycji i, w moim przekonaniu, podlegające pod kodeks karny ze wyglądu na bezpieczeństwo państwa wysoki przywódca KODu. Już obrzydliwy wprost stał się serial magistracki z panią HGW w głównej roli i łatwe wypracowania dziennikarskie na temat honoru i podobnych zalet w świecie cywilizowanym. Powinni już wiedzieć, że one tej pani nie dotyczą. W końcu za co swoim zastępcom dawała gratyfikacje i nagrody? Niech teraz się wypląć. Choćby przyjmując pokornie rolę kozła ofiarnego.

O wiele gorsza sprawa, to ostatnio odbyty Kongres Sędziów. To było dopiero widowisko! Chyba pierwszy raz w Polsce sędziowie wystąpili jako korporacja polityczna, w dodatku wspierająca opozycję walczącą o utracone stołki. A o co walczą sędziowie? Czy o więcej niż 15 tysięcy emerytury? W końcu nie brakowało na sali rześkich emerytów. Z może o powiększenie apanaży wręcz książących, o amnezję, gdy chodzi o podłą rolę wielu z ich szeregów w czasach PRL? Ale przecież nie wszyscy sędziowie przystają do modelu tych, którzy się znaleźni tam na sali, bo wielu,

może większość, to ludzie na właściwym miejscu. A tamci na kongresie przemierzali się z różnego rodzaju plewą, nie tylko politycznie i moralnie nic nie znaczącą, ale w dodatku miałką intelektualnie. Co robił tam n. p. pan Petru w pierwszym rządzie, a przecież nie on sam z politycznych układów tam był.

Jest jednak pytanie o wiele bardziej drażliwe. Co robił tam Adam Strzembosz, jak było widać w serdecznej przyjaźni ze znanym pieczeniarem, autorytetem zawsze tam, gdzie trzeba było namieszać i psuć to, co jeszcze jakoś się trzymało, dąć w czyjaś, tę właściwą trąbę. Adam Strzembosz. Pamiętam, kiedy w 1995 r. w USA tamtejszy działacz polonijny walczył o jego kandydaturę na prezydenta Rzeczypospolitej. Czynił to w najlepszej wierze, sam będąc bez skazy i jakiegokolwiek myśli o prywacie. Nie wiedziałem wtedy, co o tym sądzić, ale jedno, zdaje się, powiedziałem: Strzembosz wyszedł z dobrego gniazda. Bo tak było. Ale co się stało teraz? Czy ktoś, a może on sam, na to pytanie zdoła odpowiedzieć?

Tak więc wiemy już dzisiaj, że wielu ludzi na świeczniku zmieniło swe obyczaje na wielkopańskie, uznali swą nieomyślność, ale niestety, nie poszło to ku lepszemu. Jest na to też inne przysłowie łacińskie: corruptio optimi pessima – bo też jeśli sól zwietrzeje, to co z nią począć? Pewna pani na owym kongresie wykrzykiwała: my jesteśmy solą ziemi. Tyle zapamiętała trawestując Ewangelię, a zapomniała, o tym co tam powiedziano o soli zwietrzejącej. Taką solą z pewnością byli zabrani na sali obrad. Ktoś powiedział: leśne dziadki. Ale nie tylko oni. Byli i tacy, którym jeszcze dziś każda reforma może usunąć wygodny stół spod... wiadomo czego. Jedno ta pani powiedziała, nie mijając się z prawdą. To mianowicie, że zebrane

Honores mutant mores, sed raro in meliores (dokończenie)

towarzystwo stanowi kastę. Wiadomo co to znaczy: kasta, to grupa oddzielona od pospólstwa, żeby powiedzieć mniej delikatnie, a w istocie od reszty, od narodu. Jakież to głupie powiedzenie, i to z jakiej trybuny? Przecież bez tego pospólstwa, bez narodu, ta kasta nie ma racji bytu. Nie ma więc gigantycznych, nieadekwatnych do tego co robi, dochodów. I tego nie wiedziała ta pani, ani jej słuchacze? Do bani z taką palestrą. Satis.

Gdy chodzi o te honores mutantos mores, można by znacznie więcej powiedzieć. Napoczną temat stary, ale stale wracający: Niemcy, prezydent Gauck i „wypędzeni”. Czyżby i on się nawrócił na wiarę Eriki Steinach? A może doszedł do wniosku, że jeśli chce nadal mieć honores, to musi zmienić mores? Trochę makaronizmów nie zawadzi. Coś one w końcu ułatwiają zrozumieć. Temat Gauck i „wypędzeni” pozostawmy jednak na zaś?.

Zygmunt Zieliński

Od Redakcji

W związku z licznymi prośbami, przesyłanymi do nas przez naszych Czytelników eksperymentalnie zwiększamy objętość naszego dwutygodnika. Mamy nadzieję, że objętość 16 stron pojedynczego numeru pisma, którą dzisiaj oddajemy, okaże się dobrą formułą.

Jednocześnie przypominamy, że archiwalne numery dwutygodnika można pobrać na portalu Polonia Semper Fidelis w dziale Wydawnictwo PSF. Adres portalu: www.atopolskawlasnie.com

Pseudokatolicka V Kolumna (ciąg dalszy ze strony 1)

m.in.: „Odnosimy wrażenie, że przez jakąś szczelinę, wdarł się do Kościoła Bożego śwąd (dym) szatana. Jest nim zwątpienie, niepewność, zakwestionowanie, niepokój, niezadowolenie, roztrząsanie. Brak zaufania do Kościoła. Natomiast darzy się zaufaniem pierwszego lepszego świeckiego „proroka” wypowiadającego się przy pomocy prasy lub przemawiającego w jakimkolwiek ruchu społecznym i żąda się od niego formulek dla prawdziwego życia! Nie myśli się przy tym, że my te formuły już posiadamy!”

Ów „swąd szatana” to przede wszystkim działalność już nie tylko antykatolickich, lecz wręcz antychrześcijańskich mediów, wspieranych globalnie przez ośrodki satanistyczne, usadowione w łonie samego Kościoła, nierzadko korzystające z jego szyldu. Homilia Pawła VI w realiach lat 70-tych poprzedniego stulecia przeszła właściwie bez należącego echa, zaś papieskie słowa traktowano wyłącznie jako skierowane co najwyżej pod adresem sowieckiej polityki państwowego ateizmu.

Wątek szatańskiego rozkładu świata chrześcijańskiego podjął również Święty Jan Paweł Wielki ostatniego dnia roku 1993 w kościele św. Ignacego Loyoli w Rzymie w swojej homilii, w której powiedział m.in.: „*Antychryst jest wśród nas! Początek nowego roku otwiera horyzonty, które choć nie pozbawione przeblasku światła, są mroczne i groźne, nie możemy przyrywać oczu na to, co nas otacza. Musimy nazwać po imieniu złego. Nie możemy przeoczyć faktu, że wraz z kulturą miłości i życia na świecie rozpowszechnia się inna cywilizacja, cywilizacja śmierci, będąca bezpośrednim dziełem szatana i stanowiąca jeden z przejawów zbliżającej się Apokalipsy.*”

Cywilizacja śmierci rozumianej w każdym jej aspekcie (nie tylko anatomicznym) to antywartości, które niemalże przymusowo starają się wypierać przykazania Boże

Ciąg dalszy na stronie 14

Strona 3

Wycieczka Komisji Europejskiej do Polski

Zjadą do nas jutro goście
Zapytamy ich po coście
Tak fatygowali się w upale,
Bo nie czekamy was wcale.

Szukać dziury w całym
Chcecie? przed kryminałem
Swych współników ratować?
Podziemie nam zafundować?

Nie trza nam waszej pomocy
Skończył się czas przemocy,
Kiedy Sojuz zapraszany
Ratował system przegrany.

O siebie martwcie się lepiej
Bo wam tyłki wnet przyklepie
ISIS czy inne diabelstwo
Dając piekła obywatelstwo.

Bo sami już dziś nie wiecie
Kim jesteście, a chcecie
O tym pouczać innych
Jak żyć i myśleć powinni.

Dość już Polska nacierpiała.
Mimo to się nie poddała.
Sobą była jest i będzie
Proszę, miejcie to na względzie.

Jeśli w sukurs warchołom
Przybywacie, a oszołom
Będzie waszym partnerem,
Wspomnijcie, jak było z Hitlerem.

Nie znalazł w Polsce Quislinga,
Ani jakiegoś innego leminga
Który za garść apanaży
Ojczyznę sprzedać się odważył.

A więc oszczercy Ojczyzny
U was grunt znajdując żyzny,
Truczny nam nie zafundują,
Bo ją Polacy wraz z nimi wypłują.

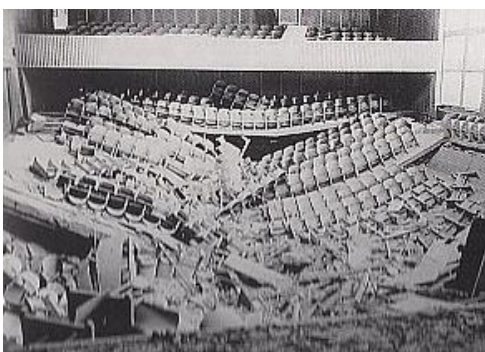
Bohaterowie zapomniani: W 45 rocznicę akcji braci Kowalczyków w Opolu Część 1

Wybuch nastąpił 6 października 1971 roku, dokładnie czterdzieści minut po północy. Takiej eksplozji nie nikt w Opolu nie widział od zakończenia II wojny światowej. Mieszkańcy okolic ulicy Oleskiej usłyszeli potworny huk, a potem brzęk rozbijanych szyb i łomot walących się ton betonu i żelastwa. Potem zobaczyli płomienie. Wielkie, hałaśliwe płomienie. Strzelały w górę, skrapiając pobliskie dachy rozgrzаныmi do białości iskrami. Wydawany przy tym dźwięk przypominał złowieszczy chichot. W miejscu, gdzie do tej pory znajdowała się reprezentacyjna aula Wyższej Szkoły Pedagogicznej, w tej chwili leżała tylko bezładna kupa gruzów. Nad ulicą, niczym przekleństwo, unosił się czarny, duszący dym. Eksplozja zniszczyła ponadto uczelniane archiwum, bibliotekę i bufet. Na zewnątrz unieruchomiła stację transformatorową, toteż w najbliższej okolicy zapanowały egipskie ciemności. Nikt jednak nie został ranny, nawet draśnięty.

Wybuch postawił na równe nogi całą bezpiekę. Następnego dnia w auli miała się odbyć uroczysta akademii z okazji dwudziestej siódmej rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej i organów bezpieczeństwa Polski Ludowej. Podczas uroczystości planowano między innymi odznaczyć funkcjonariuszy milicji oddelegowanych z Opola do krwawego stłumienia strajków na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Haniebną wymowę planowanej uroczystości pogłębiał fakt udziału w głównej roli tego ponurego spektaklu nowego komendanta wojewódzkiego MO w Opolu, pułkownika Juliana Urantówki(*), przeniesionego na to stanowisko ze Szczecina. Przed niespełna rokiem występował on tam w roli kata stojącego na czele milicyjnych szwadronów śmierci strzelających na jego polecenie do bezbronných robotników.

Od początku podejrzewano sabotaż. Wiadomo było, że sprawa wywoła

olbrzymie ciśnienie na cały aparat śledczy. Z wielu wysoko ulokowanych gabinetów pojawi się żądanie jak najszybszego jej wyjaśnienia, a przede wszystkim ujęcia i ukarania sprawców. Śledztwo, któremu nadano kryptonim „Mrowisko” (tak, jak do dzisiaj nazywa się dom studencki WSP w Opolu), rozpoczęło właściwie jeszcze tej samej nocy. Przeróżliwe dzwonki telefonów wyrwały z łóżek smacznie śpiących snem sprawiedliwych funkcjonariuszy.



***Opolska aula WSP po wybuchu
(fot. archiwum)***

Sprawę podjęła powołana przez wspomnianego pułkownika Juliana Urantówkę specjalna grupa operacyjno – śledcza. Na jej czele stanął doświadczony funkcjonariusz, pułkownik Ludwik Skowronek. Dołączyli do nich pracownicy zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO. W sumie osiem osób. Przez cały ranek zbierali ludzi i szykowali samochody. Wyjechali do Opola przynaglani przez szefów. Na miejsce dojechali późnym popołudniem. Teren otoczony był mundurowym kordonem. W powstałym po wybuchu rumowisku milicjanci szukali elementów bomby. (Wkrótce wokół miejsca zdarzenia wyrósł wysoki blaszany płot, żeby nikt nie śmiał widzieć, co dzieje się w środku). Do pomocy w prowadzeniu śledztwa zaangażowano ponadto setki funkcjonariuszy i dziesiątki oficerów dochodzeniowych.

*

Jeszcze przed końcem dnia ktoś zasugerował, że mogła to być bomba, którą zgubił samolot wojskowy. Wskazywał na to przedziurawiony dach, prześwitujący strop oraz lejkowata wyrwa w podłodze. Ta wersja utrzymała się jednak zaledwie parę dni. Wojska lotnicze stanowczo zaprzeczyły, aby w nocy z 5 na 6 października 1971 roku odbywały się jakieś nocne ćwiczenia, nie znaleziono też nawet najmniejszego śladu odłamków. Wykluczono także możliwość wybuchu gazu, który ma zupełnie inną wartość cieplną. Eksperci byli zgodni co do tego, że do spowodowania eksplozji użyto trotylu, odpalonego za pomocą przewodów elektrycznych. I to sporej ilości TNT, co najmniej kilkunastu kilogramów. Ładunki wybuchowe zostały podłożone w kanale centralnego ogrzewania w korytarzu oraz pod aulą.

Ten trotyl był najgorszy. Jeżeli ktoś zdołał zgromadzić w sposób niezauważalny tak wielką ilość tego materiału wybuchowego, niedostępnego przecież w sklepach, to kto może dać gwarancję, że jutro nie wyleci w powietrze jakiś inny, dużo ważniejszy budynek? Służące sowieckiemu imperializmowi środowisko zadrżało mocniej niż fundamenty wysadzonej w powietrze auli. Skoro tak potężny wybuch targnął znanym ze spokoju Opolem, to znaczy, że w Polsce nie ma już miejsca, w którym namiestnicy Moskwy mogliby czuć się bezpiecznie.

W pierwszych dniach po zdarzeniu przesłuchano ponad pięćdziesięciu świadków, w pierwszym rzędzie wielu pracowników WSP. Mundurowi i tajni funkcjonariusze obserwowali ich również przy odgruzowywaniu auli - uczelnia zagnała do tego cały personel naukowy, zatrudnionych w administracji oraz studentów. Zapadła bowiem decyzja, że zniszczony budynek musi zostać jak najszybciej odbudowany. Esbecy

Ciąg dalszy na stronie 5

rewidowali ich przed wyjściem z rumowiska, podejrzewając, że mogą coś wynieść, sprawdzali, czy czegoś nie chowają. Niektórych obserwowano nawet poza uczelnią.

*

Ponieważ miejscem dokonania sabotażu było Opole, powstała też wersja udziału w nim „sił obcych”. Zaczęto przetrząsać złożone dawno w archiwach akta zlikwidowanych organizacji proniemieckich spod znaku swastyki, na obszarze od Gliwic po Wrocław i Zieloną Górę. Komendy MO sprawdzały życiorysy i zbierały dane o rodzinach wszystkich studentów i pracowników WSP. Ogółem przesłuchano ich prawie sześciuset. Niektórzy godzili się na współpracę z SB. Cała akcja objęła blisko dwa tysiące osób na terenie całej Polski. Sprawdzono także wraz z rodzinnymi korzeniami wszystkich, których Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu zatrudniała przy remontach centralnego ogrzewania i kanalizacji, a potem wszystkie ekipy, które w ciągu ostatniego roku robiły cokolwiek na uczelni.

Mimo zaangażowania potężnych sił i środków, śledztwo jednak nie posuwało się do przodu. Po niespełna dwóch tygodniach minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic oddelegował dodatkowo do Opoli dwóch wysokiej klasy specjalistów od pirotechniki z Katowic. (22 grudnia 1971 roku na ministerialnym fotelu zastąpił Szlachcica Wiesław Ocieпка).

Biegli z Zakładu Kryminalistyki w śląskim Krupskim Młynie, z warszawskiego Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO oraz Wojskowej Akademii Technicznej sporządzili trzy niezależne od siebie ekspertyzy. Służba MSW pomagała w przesłuchiowaniu wojskowych oficerów i żołnierzy mających dostęp do magazynów ze środkami pirotechnicznymi, bądź którzy pobrali trotyl na ćwiczenia. Skrupulatnie skontrolowano zużycie każdej kostki. Przeszukano setki mieszkań, strychów i

piwnic w okolicy.

W grudniu, w Departamencie II MSW (kontrwywiad) wymyślono prowokację. Do Opoli wysłano volkswagenem na zachodnich numerach dwóch agentów podających się za anglosaskich dziennikarzy. Mieli wędrować po kawiarniach, piwiarniach czy wiejskich gospodach i wypytywać jak się żyje na Śląsku po wojnie, jak układają się relacje z ludnością zza Buga, jak żyje się młodzieży akademickiej? W ten sposób szukali ludzi niezadowolonych z miłościwie panującego ustroju. Za żadne skarby nie mogli jako pierwsi zaczynać rozmowy na temat tego, co wydarzyło się na WSP w Opolu. Dopiero gdyby ktoś o tym wspomniał... mieli podjąć wątek. Ale i ta akcja nie posunęła śledztwa ani o krok do przodu. Ludzie byli bardzo powściągliwi i mało rozmowni wobec zbyt dociekliwych „zachodnich dziennikarzy”.

Z upływem dni i tygodni w stołecznych gabinetach rosła niecierpliwość i zdenerwowanie. Coraz głośniejsze powtarzano pytanie: dlaczego oni się tak długo z tym pieprzą? Czemu wszystko tak się wlecze, jak gdyby chodziło o włamanie do kiosku, a nie o akt sabotażu? Dlaczego sprawcy jeszcze nie wylądowali za kratkami? Przesłuchano setki ludzi, zużyto ciężarówkę papieru. Zadano tysiące pytań i wysłuchano tyleż odpowiedzi. Wszystko na próżno. Wobec braku sukcesów, 3 stycznia 1972 roku MSW utworzyło dodatkową, jedenastoosobową grupę śledczą. Na jej czele stanął płk Edmund Wziątek, a trzon stanowili najlepsi fachowcy z departamentów II i III (nauka, kultura) oraz IV (Kościół) MSW.

*

Tym, co doprowadziło do wykrycia sprawców, okazał się malutki, niepozorny, cienki drucik miedziany, znaleziony podczas przeszukania rumowiska w zniszczonej auli. Identyfikacja drucika odkryto w jednej z pracowni pod aulą WSP. Śledczy poszli tym tropem. Ustalili, że

dostęp do pracowni miało tylko dziesięć osób. Drobiazgowo prześwietlili życiorysy każdej z nich, a także ich krewnych i znajomych.

Dossier rodziny Kowalczyków było pisane jakby na zamówienie. Ojciec, Stanisław Kowalczyk – kłusownik, z okaleczoną od wybuchu dłonią. Jego syn, Narcyz Kowalczyk, zginął przy rozbijaniu niewypałów. Brat ojca, Stanisław Kowalczyk, tuż po wojnie był członkiem bandy Jana Kmiołka pseudonim „Wir”. Młodszy z żyjących synów, trzydziestoletni Jerzy Kowalczyk, zatrudniony był w uczelnianych warsztatach jako ślusarz. Wyrzucono go z technikum za kradzież świadectw i zniszczenie dokumentów ZMS-u. Esbecy odkryli, że wcześniej służył w wojsku w okolicy, w której pozostało dużo bomb i materiałów wybuchowych. Starszy – trzydziestopięcioletni Ryszard Kowalczyk, doktor fizyki, pracował jako adiunkt w Zakładzie Fizyki Doświadczalnej WSP. W liceum, do którego chodził w Pułtusku, skradł buteleczkę nitrogliceryny, która eksplodowała mu w kieszeni. W wyniku tego wypadku stracił kilka palców. Stosunek wszystkich wymienionych do Polski Ludowej – zdecydowanie wrogi.

Bracia mieli słabe alibi. W czasie wybuchu Ryszard był podobno w domu, lecz poświadczyć mogła to jedynie jego żona. Jerzy też spał w swoim łóżku, ale sam. Nie miał na to żadnego świadka. Prowadzącym postępowanie udało się również zdobyć zdjęcia, na których Jerzy rozbija powojenne niewypały znalezione w rodzinnych stronach. Świadkowie zeznali, że nazajutrz po eksplozji przyszedł do pracy nieogolony, niewyspany i dziwnie blade. Ktoś „zakablował”, że w piwnicy ma portret Hitlera i Napoleona. Wszystko to były bardzo istotne poszlaki, ale wciąż brakowało mocnych dowodów.

Braci Kowalczyków objęto całodobową inwigilacją. W ich mieszkaniach i w miejscu pracy założono podsłuch. Esbecy

wiedzieli z kim się spotykają, o czym rozmawiają, jak się zachowują, jakie mają plany. Ryszarda rozpracowywali dodatkowo pracujący w Katedrze Fizyki Doświadczalnej WSP szpicle bezpieki o kryptonimach: „O” (Jerzy Owsianko) „Roman”, „Karol”, „Janek”, „Franek” (Ryszard Sporina), „L100” i jeszcze kilku innych.

Do rozpracowania Jerzego posłużyła śliczna agentka SB z Wrocławia o pseudonimie „Kasia”, Katarzyna Łacheta. Sprytnie zaaranżowano ich spotkanie. 15 stycznia kontakt operacyjny SB o kryptonimie „O” – Jerzy Owsianko, umówił się z młodszym z braci we wrocławskiej kawiarni „Bajka”. Pretekstem było oddanie starego długu. „Kasia” siedziała przy sąsiednim stoliku. Nawiązanie rozmowy nie stanowiło w tych warunkach problemu. Atrakcyjna agentka szybko zyskała sympatię Jerzego. Zaczęli się spotykać, u niego w Opolu albo u niej, we Wrocławiu.

Kowalczyk obdarzył kobietę dużym zaufaniem. Zbyt dużym. A „Kasia” z każdej rozmowy z nim systematycznie sporządzała meldunek, który dostarczała do centrali: „Jest zdecydowanym wrogiem ustroju socjalistycznego” - pisała. „Przygotowuje ucieczkę do RFN. Kompletuje mapy przygranicznych terenów”. „Roypytywał nawet o słownik polsko-niemiecki”. „Mówi, że z powodu popełnionych przestępstw życie jego wisi na włosku”. „Dzisiaj przyznał, że dokonał wielkiego czynu, za który może ponieść surową karę”. „Nie czyta w ogóle gazet i czasopism, nie słucha radiowych audycji polskich, bo to jest według niego komunistyczna propaganda. Natomiast prawdy można się tylko dowiedzieć z Radia Wolna Europa. (...) Podobnych poglądów jest jego brat i cała rodzina”.

Najważniejsze okazało się doniesienie pani Łachety z 3 lutego 1972 roku. Agentka poinformowała w nim swoich mocodawców ze Służby Bezpieczeństwa, że Jerzy przyznał się jej tego dnia, iż to on

wysadził aulę w Opolu. „Przechodząc koło WSP, powiedział, że trotyl położony był w kanale na rurach centralnego ogrzewania, a do jego odpalenia wystarczył cienki drucik o odpowiedniej długości”.

27 lutego zapadła decyzja o aresztowaniu obu braci. Niespodziewanie jednak okoniem stanął prokurator wojewódzki w Opolu Stanisław Wyciszcza. Nie miał obiektywności, aby aresztować Jerzego, ale odmówił wydania sankcji na Ryszarda. Pojechał do Warszawy, gdzie zażądał od swoich przełożonych interwencji w prokuraturze generalnej. Następnego dnia, 28 lutego, wrócił do Opolu, by dopilnować aresztowania Jerzego i Ryszarda. Pierwszemu nałożono kajdanki w pracy, a dokładniej mówiąc na korytarzu akademika, kiedy szedł do stołówki na śniadanie. Drugiego wzięto z domu.

Przewieziono ich do Komendy Wojewódzkiej MO, gdzie umieszczeni zostali w oddzielnych celach, znajdujących się w piwnicach. Tego samego dnia funkcjonariusze SB przeszukali mieszkania krewnych oraz znajomych aresztowanych braci.

„Podczas licznych przeszukań esbecy wywieźli pełny samochód narzędzi pracy ojca, zabrali też staroświecki zielony kufer matki – relacjonował Ryszard Kowalczyk. - (...) W kuftrze były fotografie i dokumenty, które mogły być podstawą do przyznania mojej mamie rekompensaty za niewolniczą pracę. Mogły, ale tak się niestety nie stało. Otóż dokumenty potwierdzające niewolniczą pracę mamy, znajdowały się w zielonym kufrze, razem z innymi dokumentami i pamiątkami rodzinnymi. Był tam również zbiór starych monet, które zbierali rodzice, i wiele innych rzeczy. W tym monety z walk powstańczych, jakie się w Rzęśniku toczyły. Kufer ów zabrali oprawcy z Rakowieckiej 37 i do dziś nie zwrócili. (...) Ci, którzy ten kufer zabrali, mają zapewne wysokie emerytury i

przywileje, a moja mama zmarła, nie doczekawszy się elementarnego aktu sprawiedliwości”.

I tu nastąpiło coś, co - wydawało się - zdarzyć się może tylko w filmowych romansach szpiegowskich klasy B. Agentka „Kasia” zapalała rzeczywistym uczuciem do rozpracowanego obiektu. Po wezwaniu do prokuratury w charakterze świadka, zaczęła wszystkiemu zaprzeczać. Także i później, podczas procesu zaprzeczała zawartym w swoich donosach informacjom twierdząc, że została zmuszona do ich napisania przez milicję. Wysyłała mu do celi grypsy miłosne, ukryte między innymi w ciście. Listy te przechwytywała jednak bezpieka i w ich miejsce podsyłała Jerzemu inne, sfabrykowane przez nią, w których Łacheta go potępiała i odżegnywała się od niego.

Już po skazaniu Jerzego agentka starała się o zgodę na wyjazd za granicę. Służba Bezpieczeństwa nie wyraziła zgody. Co się z nią później stało, nie wiadomo.

*

Rzęśnik to niewielka wioska na Nizinie Mazowieckiej, leżąca między Pułtuskim a Wyszkiem. Założona została w roku 1499 – w 1999 uroczyście obchodziła swoje pięćsetcie. Od 1935 roku działało tu Państwowe Gospodarstwo Łąkowe, administrujące folwarkiem Rzęśnik oraz częścią bagien Pulwy. W latach 1946 – 1951 w pobliskich wsiach i lasach ukrywali się żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego, walczący przeciwko sowieckiej okupacji.

Do historii przeszedł oddział Jana Kmiołka, „Wira”, składający się głównie z mieszkańców Rzęśnika i okolicznych miejscowości. Grupa wchodziła w skład Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Spośród wielu akcji oddziału, do najgłośniejszych należała ta z 30 października 1946 roku, w wyniku której rozbito powiatowe więzienie UBP w Pułtusku i ta z 15 sierpnia roku 1948, dzięki

Uśmiechnij się...

Strona 7

Kawalkada rycerzy ze Zbyskiem z Bogdańca na czele wraca spod Grunwaldu. Nagle na ich drodze pojawia się człowiek w łachmanach i z pochwą od miecza powieszoną na szyi.

Zbyszko: Ktoś ty?

Nieznamy: (coś niezrozumiale bełkocze)

Zbyszko: Tyś Jurand ze Spychowa!

Nieznamy: (kiwa głową)

Zbyszko: Wyrwali ci język?

Nieznamy: (kiwa głową)

Zbyszko: Kto ci to zrobił?

Nieznamy: (pokazuje ręką krzyż)

Zbyszko: POGOTOWIE!?

Do kliniki dentystycznej przychodzi Niemiec, wchodzi do gabinetu jednego ze stomatologów i pyta:

- Ile kosztuje wyrwanie zęba bez znieczulenia?

- 30 euro.

- A ile ze znieczuleniem?

- 50 euro.

- Poproszę w takim razie ze znieczuleniem.

Dentysta aplikuje Niemcowi znieczulenie i prosi, by ten poczekał przed gabinetem 10 minut, aż znieczulenie zacznie działać.

Ponieważ mija pół godziny, a pacjent się nie pojawia, wyrwizab wychodzi zdziwiony przed gabinet i spotyka tam swojego kolegę, dentystę z gabinetu obok, który mu opowiada:

- Wyobraź sobie, miałem przed chwilą pacjenta. Ależ to był twardziel! Uparł się, że chce rwać zęba bez znieczulenia, a kiedy mu go rwałem, nawet się nie skrzywił!

Zoo. Jeden z opiekunów zagląda w rozdzieloną paszczę krokodyla. Drugi podchodzi i pyta:

- Co z nim?

- Nie wiem, weterynarz już pół godziny nie wraca.

Jakie jest najgorsze połączenie dwóch chorób?

Straczka i Alzheimer - biegniesz, ale nie wiesz dokąd

Rok 1945. Rosyjska nauczycielka pyta dzieci:

- Dzieci kto z was i jak pomagał żołnierzom na froncie?

Nastia:

- Wysyłałam na front tabakę i tytoń.

Masza:

- Pomagałam mamie robić opatrunki.

Nauczycielka:

- Zuchy! Wowa, a Ty?

- A donosiłam żołnierzom pociski!

- Wowa, to ty jesteś bohaterem

dzisiejszego dnia! A podziękowali ci?

- Tak, powiedzieli mi "Sehr gut, Władimir!"

Przychodzi koleś do lekarza cały pogryziony.

-Co się panu stało?

-Wróciłem do domu trzeźwy i pies mnie nie poznał.

Siedzi facet na ulicy obok kosza z pestkami z jabłek.

Podchodzi policjant i pyta:

-Co tam masz?

-Sprzedaję pestki z jabłek.

-A do czego służą?...

-Po zjedzeniu jednej człowiek staje się mądrzejszy.

-A po ile je sprzedajesz?

-15 zł za sztukę.

-Daj mi jedną.

Policjant zjadł pestkę, pomyślał i mówi:

-Poczekaj chwilę! Za 15 zł mogłem kupić

kilka kilo jabłek i mieć z nich mnóstwo pestek zamiast jednej!

-Widzi Pan? Już poskutkowało.

-Rzeczywiście. Daj jeszcze dwie.

Do wodza Indian przychodzi wojownik:

- Wodzu, mam dwie wiadomości: złą i dobrą.

- OK, zaczynaj od złej.

- Obok nas rozbił się tabor cygański.

- To straszne, trzeba na nich bardzo uważać... No, a ta dobra wiadomość?

- Smakują jak bizony...

Przychodzi mama Jasia do biura pośrednictwa pracy, żeby synowi robotę jaką załatwić:

- Pani, nie byłoby dla Jasia jakieś roboty, bo pije chłopak i pije....

- A co Jasiu potrafi?

- No murować umie, podstawówkę skończył...

- A to mamy: murarz, 4000 na rękę...

- Pani kochana! Toć przecież Jasiu cały czas będzie chodził pijany, jak tyle pieniędzy zarobi... A za mniej coś nie ma?

- No jest jeszcze - pomocnik murarza, 3000 na rękę

- No ale 3000? To przecież będzie pił i pił... A tak za 600-700 złotych to coś by się nie znalazło?

- 600-700... Hmm... To by Jasio musiał studia skończyć..

Spotyka się dwóch facetów:

- Ten twój kolega to ma szczęście! Dwie żony już pochował, bo

struły się grzybami, a teraz trzeci raz owdowiał.

- No, ale tym razem to był uraz czaszki.

- Tak słyszałem. Ponoć nie chciała jeść grzybów.

Seryjny morderca ciągnie kobietę do lasu. Kobieta krzyczy przerażona:

- Ale ponuro i ciemno w tym lesie. Bardzo się boję!

Na to morderca:

- No, a ja co mam powiedzieć? Będę wracał sam...

której żołnierze niezłomni zdołali brawurowo wyrwać się ze zorganizowanej na bagnach Pulwy przez MO i UB obławy.

Dowódca, Jan Kmiołek, urodził się w Rzęśniku 23 lutego 1919 roku. Od jesieni 1941 roku był żołnierzem ZWZ - AK obwodu Pułtusk. W 1945 wstąpił w szeregi organizacji Wolność i Niezawisłość, walcząc w oddziale „Visa” (Stanisława Sumlińskiego) operującym na terenie powiatu ostrowskiego. Od roku 1946 dowodził zorganizowanym przez siebie oddziałem działającym w rejonie trójkąta obejmującego miejscowości Nasielsk, Pułtusk i Wyszaków. 27 sierpnia 1951 roku został w wyniku zdrady aresztowany i po sądowym pseudoprocesie skazany na karę śmierci. Zamordowali go 7 sierpnia 1952 roku funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego PRL. Miejsce pochówku do dzisiaj jest nieznane.

Z tą właśnie wiedzą dorastali w Rzęśniku bracia Ryszard (który przyszedł tam na świat w 1936 roku) i Jerzy (urodzony 5 grudnia 1941) oraz ich rodzeństwo: Irena, Zbigniew i Narcyz. Wszyscy wychowywali się w rodzinie głęboko patriotycznej, o radykalnie antykomunistycznych poglądach. W domu Kowalczyków ukrywali się partyzanci podziemia antykomunistycznego. Jakiś anonimowy esbek ujął to w sporządzonej przez siebie notatce nieco inaczej: „(...) pochodzą z rodziny o tradycjach bandycko kryminalnych”...

Ojciec, Stanisław Kowalczyk, kował i ślusarz z zawodu, naprawiał im broń. Od dzieciństwa byli więc świadkami walki podziemia z niemiecką, a potem narzuconą narodowi przemocą sowiecką władzą i krwawej, okrutnej rozprawy UB i NKWD z polską partyzantką. Obaj kultywowali potem tradycję II Rzeczypospolitej, Armii Krajowej i WiN.

„W moim rodzinnym domu moja matka i mój ojciec uczyli mnie od dzieciństwa odróżniać dobro od zła a prawdę od fałszu – zwierzał się Ryszard Kowalczyk

Zbigniewowi Bereszyńskiemu. – Kiedy w 1944 roku mój ojciec robił zawiasy do ziemianki dla żołnierza rosyjskiego, ten powiedział ojcu, jak strasznie im się żyje w kolchozach sowieckiej, komunistycznej Rosji, i ze łzami w oczach dodał – was czeka to samo, co nas spotkało. Pamiętam tę scenę i pamiętam twarz tego bardzo starego, jak mi się wówczas wydawało, żołnierza”

Zaraz po urodzeniu Jerzego, ich matkę, Zofię Kowalczyk, wywieziono na roboty w głąb III Rzeszy. Ojca poszukiwało gestapo. Bracia trafili do obcych ludzi. Rodzina odnalazła się dopiero w 1945 roku. Chłopcy byli świadkami wielu wydarzeń, związanych z walką żołnierzy niezłomnych z sowieckim okupantem i ich polskimi namiestnikami. O innych słyszeli od starszych, jak choćby o sprawie ich stryja, Stanisława Kowalczyka pseudonim „Odwet”.

Brat ojca, żołnierz WiN z oddziału Jana Kmiołka, 9 kwietnia 1947 roku ujawnił się w PUBP w Ostrowi Mazowieckiej. Jesienią 1947 roku, za zgodą i wiedzą dowódcy oddziału podjął pozorowaną współpracę z UB jako TW „Grzegorz”, w celu pozyskiwania informacji i dezinformacji przeciwnika. Wiosną następnego roku, w wyniku groźby zdekonspirowania i poboru do wojska, powrócił do leśnego oddziału. Aresztowano go w Łodzi 15 września, w restauracji „Dworcowa”. Po brutalnym śledztwie został skazany 3 kwietnia 1952 roku za działalność antykomunistyczną na czternastokrotną karę śmierci. Zamordowano go 7 sierpnia tego samego roku wraz z Janem Kmiołkiem w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie i pochowano gdzieś w bezimiennym dole. Starszy z braci, Ryszard, był świadkiem tego haniebnego procesu, odbywającego się na zamku w Puławach.

„Rozprawa była publiczna, a największa sala zamku wypełniona po brzegi – wspominał. – Uciekałem z lekcji i z oddali patrzyłem na tych wtedy jeszcze młodych ludzi, ponizanych przez sędziów. Znałem

obu, ponieważ często bywali w naszym domu, przynosząc broń do naprawy mojemu ojcu. Ówczesne prawodawstwo nie zezwalało na oddanie ciała straconego rodzinie. Stryj zostawił żonę i dwoje małych dzieci”.

Obaj Kowalczykowie ukończyli szkołę podstawową w Rzęśniku. Potem Ryszard poszedł do technikum w Puławach, Jerzego zaś nie przyjęto do szkoły średniej z powodów ideologicznych. Rozpoczął więc naukę w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Ostrołęce. Te same powody stały również na drodze kariery Ryszarda, którego w tym samym roku, mimo zdania wszystkich egzaminów, jako „wroga systemu” nie przyjęto na studia na Uniwersytecie Warszawskim.

Ryszard Kowalczyk:

„Usiłowano nam, nastolatkom, włączyć wtedy do głów historię WKP(b), była to jednak indoktrynacja nieskuteczna, nasi rodzice bowiem uczyli nas prawdziwej historii Polski, a nasi dziadkowie czy stryjowie opowiadali w naszym domu, przy lampie naftowej, o niewoli sowieckiej, służbie w carskiej armii trwającej dwadzieścia lat czy o swoim uczestnictwie w Legionach Piłsudskiego”.

Jerzy Kowalczyk:

„Szkola powszechna w Rzęśniku była prowadzona przez ludzi niepowołanych do kształcenia i wychowywania, a ponadto ludzie ci byli ideowymi komunistami, a ja nie akceptowałem ich poglądów. Mścili się na mnie za to, a w szczególności ówczesny kierownik Stanisław Piekarski (...)”.

Jeszcze w trakcie nauki w szkole średniej, Ryszard nawiązał współpracę z organizacją Wolność i Niezawisłość, włączając się w prowadzoną na terenie Puławską akcję plakatową. Utrzymywał też korespondencję z innym stryjem, którego losy wojenne rzuciły do Kanady. Z tego powodu ściągnął na siebie uwagę Urzędu Bezpieczeństwa i

został aresztowany. Podczas śledztwa wielokrotnie go pobito. W klasie maturalnej powtórnie był przesłuchiwany i bity oraz zawieszony na miesiąc w prawach ucznia. Henryk Kurta doniósł, że słucha wieczorami Radia Wolna Europa.

„Kiedy nie chciałem podpisać obciążających mnie bardzo protokołów, zbity mnie i to dotkliwie tak, że przez miesiąc nie mogłem pokazywać pleców – mówi. – Bito mnie jeszcze potem tak długo, zanim nie podpisałem zobowiązania, że nikomu nie ujawnię szczegółów przesłuchań pod groźbą uwięzienia członków rodziny i oczywiście mnie”.

Zarówno w podstawówce, jak i w szkole zawodowej Jerzy sprawiał nauczycielom mnóstwo kłopotów. Zwłaszcza na lekcjach historii, na które przynosił – o zgrozo! – przedwojenne podręczniki. Z powodu nieprzejednanej postawy miał problemy, które, mimo ponadprzeciętnych zdolności, przeszkodziły mu w zdobyciu wykształcenia. Kiedy stwierdził beczelnie, że polskich oficerów w Katyniu nie zamordowali Niemcy, lecz Rosjanie, w 1957 roku wyrzucono go ze szkoły. Wrócił więc do domu, gdzie zaczął pomagać rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa rolnego.

W 1960 roku został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Jego plany życiowe nie obejmowały służenia w Ludowym Wojsku, zwanym Polskim. Mógłby nawet śmiało rzec, że udziałowi w siłach zbrojnych Układu Warszawskiego był zdecydowanie przeciwny. Uważał, że tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się wojsko. Ale cóż było robić. Wiosną stawiał się w jednostce wojsk lotniczych w Zamościu.

Po zaliczeniu „zaszczytnego obowiązku” przeniósł się do Opola, gdzie mieszkał już jego brat Ryszard. Przy jego pomocy znalazł zatrudnienie jako technik w katedrze fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W Opolu ukończył technikum mechaniczne i miał zamiar

rozpocząć studia wieczorowe w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Mieszkał kątem u Ryszarda i wieczorami wiódł z nim rozmowy na temat fizyki kwantowej, o świecie niedostępnym przeciętnemu śmiertelnikowi. Dyskutowali też o codziennym, szarym życiu w PRL. O kilometrowych kolejkach po byle ochłap mięsa, o zniewoleniu narodu przez komunistycznych władców i wszechobecnej „propagandzie sukcesu”. „Oni wciąż powtarzali, że Polska Ludowa jest jednym z wiodących krajów w Europie pod względem gospodarczym – wspomina Ryszard. – Mierziła nas ta hipokryzja”.

Obaj bardzo przeżyli masakrę polskich robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. To właśnie rozpacz i bezsilność pchnęły go ich zniszczenia auli WSP w Opolu, w której działacze komunistyczni mieli odbierać nagrody za pacyfikację robotników.

Nie dostawszy się na studia, Ryszard pracował w latach 1956 – 1958 w Warszawskim, a później Białostockim Przedsiębiorstwie Elektryfikacji Rolnictwa. W 1958 roku, zapewne przez niedopatrzenie władz, dostał się na wymarzoną fizykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Po ukończeniu studiów - z wynikiem bardzo dobrym - jako wybitnie zdolny absolwent, objął asystenturę w Katedrze Fizyki Doświadczalnej. Jego praca magisterska zajęła drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie prac dyplomowych. W 1971 roku obronił na Uniwersytecie Wrocławskim pracę doktorską, wyróżnioną nagrodą Ministra Oświaty. Interesowały się nią uczelnie w Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych.

Wyniesiony z domu rodzinnego patriotyzm i nienawiść do obcego, narzuconego Polsce przemocą systemu komunistycznego, nie pozwalały i jemu w milczeniu godzić się z krzywdą i kłamstwem.

*

Pracując na opolskiej WSP, byli świadkami

rozprawy władz komunistycznych z protestami studenckimi w marcu 1968 roku. Widzieli, jak w atmosferze politycznej prowokacji uczelniany aparat partyjny PZPR, rzucając pod adresem najaktywniejszych przedstawicieli studentów oszczerze oskarżenia, usuwa ich z uczelni i kieruje do karnych kompanii wojskowych.

Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Opolu nazywano w tym czasie „Czerwoną Sorboną”, ponieważ stała się zapleczem kształcenia funkcjonariuszy partyjnych, MO i SB oraz kuźnią kadr dla tych instytucji. Ogromną aulę, tę, która wyleciała w powietrze, wybudowano w celu prowadzenia wykładów i organizowania uroczystych inauguracji roku akademickiego. De facto stała się jednak miejscem celebrowania rozmaitych świąt komunistycznych oraz urządzania partyjno-milicyjno-esbeckich akademii.

Bracia Kowalczykowie obserwowali te prosowieckie i antypolskie spektakle z narastającym obrzydzeniem. Aula, którą mijali codziennie idąc do pracy, stała się dla nich symbolem i świadectwem komunistycznego zniewolenia. Oburzała ich komunistyczna arogancja i antynarodowa buta, gdy występował tam, znany ze swej krwawej obietnicy obcinania rąk podniesionych na władzę ludową premier komunistycznego rządu Józef Cyrankiewicz. W ich głowach zaczynał się powoli rodzić pomysł urządzenia podczas z którejś z akademii „ku czci” małego pirotechnicznego wybuchu, który przestraszyłby komunistycznych dygnitarzy i dodatkowo jeszcze ośmieszył, brudząc wystrzeloną sadzą.

„Już nie pamiętam, w którym roku, ale po Marcu 1968, przyjechał do Opola Cyrankiewicz i znów straszył, jak w 1956, że będzie odrąbywał ręce tym, którzy zamachną się na władzę ludową – wspominał Ryszard Kowalczyk. - I wtedy zrodziła się w naszych głowach idea, by

Ciąg dalszy na stronie 10

takiego aparaczyka postraszyć, ośmieszyć. Któryś z nas wpadł na pomysł, aby u sufitu auli WSP zawiesić petardy z sadzą. Żeby to wybuchło podczas takiego partyjnego spędu. Aula naszej uczelni była wtedy używana przede wszystkim na spotkania aparaczyków. (...) Aula WSP w Opolu była dla nas symbolem reżimu. Tutaj zganiano nas na coroczne akademie PZPR i MO. Tutaj zmuszano nas do słuchania, że nasi biskupi to zdrajcy, że studenci to warchoły”.

Tymczasem nadciągnął grudzień roku 1970 i w Polsce zaczęło się robić jeszcze bardziej nieciekawie. Ogłoszona przez rząd podwyżka cen żywności wywołała w całym kraju niepokoje, a w niektórych miejscach rozruchy. Do największych doszło w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie. W Gdańsku ludzie rozpoczęli szturm na gmach Komendy Miejskiej MO. Władysław Gomułka podjął decyzję o użyciu przez milicję i wojsko broni. Do wykonania polecenia przystąpił ówczesny minister obrony narodowej, generał Wojciech Jaruzelski.

16 grudnia grupa demonstrantów wyszła za bramę gdańskiej stoczni. Ze stojących wokół czołgów rozległy się strzały. Padli pierwsi ranni i zabici. Krwawe walki ogarnęły całe Wybrzeże. Wieczorem przed kamerami telewizji Gdańsk, towarzysz Stanisław Kociołek wezwał o spokój i powrót do normalnej pracy. Rankiem 17 grudnia, gdy tysiące ludzi zmierzały zgodnie z apelem Kociołka do Stoczni, przy wiadukcie koło stacji Gdynia – Stocznia wojsko otworzyło do nich ogień. W masakrze zginęło kilkadziesiąt osób. W tym czasie nadjeżdżały ciągle nowe pociągi, z których wysiadali robotnicy zmierzający do pracy. Widząc, co się stało, starli się z milicją i wojskiem. Padli kolejni ranni i zabici.

Kiedy na Wybrzeżu zabitych robotników wkładano nocami w plastikowe worki, w Warszawie Edward Gierek dokonywał zamachu stanu. Usuwając ze stanowiska dotychczasowego przywódcę, Władysława

Gomułkę, został I Sekretarzem Zjednoczonej Partii. Zaczynała się dekada „sukcesu”.

*

Gdy do Opolą dotarła przerażająca wiadomość o dokonaniu przez komunistów krwawej masakry robotników Wybrzeża, braciom Kowalczykom przeszła chęć do żartów. Grudniowa masakra obnażyła i przypominała tę prawdziwą, zbrodniczą i nieludzką twarz komunizmu. Wydawało się, że zmaltretowane fizycznie i moralnie, spacyfikowane dokumentnie społeczeństwo niezdolne będzie przez długie lata do podjęcia czynnego działania i upomnienia się o sprawiedliwość. W 1971 roku wszystko wskazywało na to, że komuniści osiągnęli zamierzony cel.

Ale bracia Kowalczykowie nie zamierzali patrzeć obojętnie na zbrodnicze poczynania reżimu. Śledząc pilnie dalsze echa grudniowych wydarzeń dowiedzieli się, że odpowiedzialny za zbrodnie komendant wojewódzki MO w Szczecinie, pułkownik Julian Urantówka, został mianowany na takie samo stanowisko w Opolu.

„Straszne wydawało mi się, że Polak do Polaka mierzył z karabinu i wiedząc, że ma ostrą amunicję, naciskał na spust – opowiadał Ryszard. - Wiedząc, że może zabić, zabijał. I była to niewątpliwie wina komunistów. Jaruzelskiego i tej całej reszty bandytów. W tym tego zbrodniarza Urantówki. I nagle, jakoś tak w połowie 1971 roku, ktoś z Komitetu Uczelnianego PZPR pochwalił się, że ci oprawcy mają być tutaj, w Opolu, nagradzani za te dokonane prze niecałym rokiem zbrodnie. Wydało mi się, że tej kpiny z narodu jest już zbyt wiele. Głównie ten imperatyw był w mojej głowie”.

Samotni bojownicy postanowili nie dopuścić do fetowania przez zbrodniarzy kolejnego zwycięstwa nad narodem i znieważania pamięci pomordowanych stoczniovców. W akcie desperackiego sprzeciwu, jak przystało na spadkobierców zbrojnego podziemia wydobyli broń spod

ziemi, by stanąć do walki w obronie gnojonego narodu. Dokonali eksplozji ku przestrodze zbrodniarzy i w proteście przeciwko ich bezkarności. Młodszy skonstruował i rozmieścił ładunki, starszy dokonał odpowiednich obliczeń potrzebnych do detonacji.

Jerzy Kowalczyk rozpoczął zwożenie z rodzinnego Rzęsnika materiału wybuchowego, który odyskiwał z walających się wciąż po okolicznych lasach poniemieckich i posowieckich niewypałów. W ten sposób zgromadził dwadzieścia kilogramów trotylu. Systematycznie wnosił go kanałami wentylacyjnymi na teren uczelni i rozmieszczał pod aulą.

„Kiedy w 1970 roku ci właśnie milicjanci, wspierani przez oddziały wojska Jaruzelskiego, dokonali masakry robotników, moja rozpacz, że mordując rodaków, i bezsilność, pchnęły mnie do szaleńczego kroku zniszczenia tego symbolu zniewolenia, służalczości i areny do świętowania namiestników Kremla – opowiadał po latach. - Może nawet i tak by się nie stało, ale właśnie w tej auli miała się odbyć dekoracja bezpośrednich uczestników masakry, oddelegowanych służbowo z Opolą do Gdańska”.

18 maja 1972 roku, podczas przeprowadzania wizji lokalnej, powiedział:

„Istotą i zasadniczym celem mego działania było wytworzenie w społeczeństwie przekonania o istnieniu w Polsce jakiejś siły – opozycji walczącej z aktualnie istniejącym porządkiem politycznym. (...) Byłem przekonany, że wysadzenie auli przed tą uroczystością zostanie jednoznacznie przez społeczeństwo odczytane jako demonstracja polityczna”.

Starannie zadbał o to, żeby nikt nie odniósł obrażeń. Przed dokonaniem eksplozji dokładnie skontrolował wszystkie miejsca sąsiadujące z aulą. „Wybuch wyrwał podłogę i zniszczył dach, nikomu nic się

nie stało – tłumaczył potem. - Bo nie pragnęliśmy niczyjej śmierci. To milicjanci w 1970 roku celowali do robotników z karabinów i pociągali za spusty, by ich zabić”.

Trotyl ułożył w taki sposób, żeby siła rażenia została skierowana w górę, dlatego wybuch wyrwał podłogę w auli i zniszczył dach. Popęłił tylko jeden mały błąd. Nie zdołał wyszarpnąć i zabrać ze sobą drucika, za pomocą którego przesłał do mechanizmu zegarowego bomby impuls elektryczny. Próbował to zrobić, ale coś się zacięło. Zostawił więc drut, bo inaczej nie zdążyłby uciec przed eksplozją. Ten mały drucik okazał się jego zgubą.



Bracia Kowalczykowie podczas uroczystości wmurowania tablicy im poświęconej w dniu 18 grudnia 2010 roku w Gdańsku (fot. archiwum)

Śledztwo przeciwko Kowalczykom formalnie prowadziła prokuratura w Opolu, ale wywieziono ich do Warszawy i tam dokonywano wszelkich czynności procesowych, którym uważnie przyglądała się Służba Bezpieczeństwa. Obaj początkowo „szli w zaparte”, aż w końcu, po prawie dwóch miesiącach maglowania, w kwietniu 1972 roku Jerzy przyznał się do wysadzenia auli. W czasie kolejnych przesłuchań wyjawiał przebieg przygotowań, opowiedział też o zbieraniu niewypałów w rześnickich lasach za pomocą własnoręcznie skonstruowanego wykrywacza metali.

„Nie znaleźli żadnych materiałów dowodowych – twierdził potem Jerzy. - Była wielka szansa, że nigdy nas nie wykryją. Ale tak się składa, że człowiek ma w sobie mocne i słabe strony. Więc udało im się. Nie wymyśliłem tego powiedzenia, ale mówi ono, że nawet najmocniejszy łańcuch ma słabe ogniwo”.

Ryszard „pękł” dopiero w maju, przyznając się, że popierał pomysł wysadzenia auli: „Od 1970 roku Jerzy zaczął czynić przygotowania. (...) Zasięgał u mnie rady i korzystał z mojej pomocy między innymi co do konstruowania urządzenia do wykrywania niewypałów, obliczenia ciśnienia przy wybuchu, temperatury topnienia trotylu, skonstruowania urządzenia odpalającego”. Starszy brat przyjął taktykę ukazywania młodszego jako krnąbrnego urwisa. Być może sądził, że taki jego obraz choć trochę przychylniej usposobi śledczych. Ostatecznie nieposłuszny, uparty młody człowiek - rozumował - to nie to samo co dywersant, przestępca czy kryminalista.

Obu podczas przesłuchań faszerowano środkami psychotropowymi, traktowano ultradźwiękami, trzymano w jednej celi z mordercami. Ryszard „kiblował” między innymi z Zygmuntem Garbackim, Jerzy – z Marianem Wojtasikiem. Obaj wymienieni skazani zostali na karę śmierci za zabójstwo znanego dziennikarza Jana Gerharda.

Wbrew oczywistym faktom, Kowalczyków oskarżono z artykułu 126 §1 ówczesnego Kodeksu karnego, którego treść brzmiała następująco:

„Kto w celu wrogim Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dopuszcza się gwałtownego zamachu na życie funkcjonariusza publicznego lub działacza politycznego, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze śmierci”.

Przemysław Słowiński

(część druga w następnym numerze)

Kiedy przyjdą podpalić dom

Ten sam, w którym mieszkasz wciąż –
Polskę

Nikt nie odpowie na ich grom
Nie stanie cywil, ani wojsko.

Nie załomocą kolby w drzwi
Bo wrota dawno wykradzione
Bagnet na broń! – nie krzykną ci
Co białą flagę dzierżą w dłoni.

Tęczowi tchórze pójdą w tan
Spiker w Ti-Vi hołdy odczyta
Dyżurny zdrajca wraży tank
Macą i solą znów przywita.

Wnet powyłażą z nor i chat
Te same wredne kreatury
Wprowadzą nowy, lepszy ład
Rządem starego politbiura.

Jeszcze wyłapią- według list
Ostatnich polskich patriotów
By nie zawadzał władzy nikt
By trwale trwał światowy pokój.

Kto przeciw- ten faszysta, wróg!
Jednostka nic tu nie odmieni!
I nie przebiję złoty róg
Ryku lemingów i jeleni.

Lecz nim zaleje potop nas
Od dachu aż po mrok piwnicy
Przyjrzyj się w lustrze jeszcze raz
Tak wyglądają niewolnicy.

Lech Makowiecki



Cud beatyfikacyjny ks. Władysława Bukowińskiego

**Natychmiastowe i trwale uzdrowienie
kapłana ze skutków wylewu
podpajęczynówkowego stało się cudem
koniecznym do ogłoszenia
błogosławionym ks. Władysława
Bukowińskiego.**

Cud zdarzył się w czerwcu w 2008 roku w seminarium w Karagandzie. Dotyczy on ks. Mariusza Kowalskiego, który podczas gry w piłkę na boisku seminaryjnym uległ wypadkowi, wskutek czego stwierdzono wylew podpajęczynówkowy. Lekarze twierdzili, że najprawdopodobniej nie przeżyje dwóch-trzech dni; natomiast jeśli przeżyje, będzie w stanie wegetatywnym, a w najlepszym wypadku, po bardzo intensywnej rehabilitacji, może dojść do sprawności.

„Ponieważ sytuacja była bardzo poważna ówczesny arcybiskup Karagandy Jan Paweł Lenga MIC poprosił biskupa pomocniczego Atanazego Schneidera ORC, aby udał się do szpitala i udzielił księdzu namaszczenia chorych oraz warunkowego rozgrzeszenia, czyli przygotował go na śmierć. Biskup, oprócz olejów do Sakramentu Namaszczenia Chorych, wziął ze sobą kosteczkę – dziś już możemy powiedzieć, że relikwię – księdza Bukowińskiego. Jedna z niemieckich sióstr, przekonana o tym, że ten człowiek jest święty zabrała ją z pobożności w czasie ekshumacji ciała księdza Władysława z miejscowego cmentarza w 1995 roku i przyniesienia do Katedry św. Józefa w Karagandzie. Po udzieleniu sakramentów, biskup zostawił tę kosteczkę w izolatce, w której znajdował się chory kapłan” – relacjonuje ks. Andrzej Scaber, który badał sprawę cudu w procesie beatyfikacyjnym ks. Władysława Bukowińskiego.

W tym samym czasie rozpoczęto nowennę

przez wstawiennictwo ks. Bukowińskiego o uzdrowienie ks. Mariusza. Modliły się karmelitanki z klasztoru w Karagandzie i księża, którzy w tym czasie przybyli na rekolekcje do seminarium z całego Kazachstanu.

Po wyjściu bp. Schneidera ze szpitala ks. Mariusz się wybudził. „Na zewnątrz stała radziecka lodówka, która bardzo głośno chodziła i przeszkadzała mu w spaniu. Wybudzony wstał z łóżka, wyszedł na korytarz i wyciągnął z kontaktu wtyczkę zasilającą prądem lodówkę. Rano przyszła pielęgniarka i zastała go przytomnego; zapytała kto wyłączył lodówkę. Odpowiedział, że on. Pielęgniarka zaczęła krzyczeć, że jemu nie wolno się ruszać, bo jest po wylewie. Ale on mówi, że ta lodówka tak mu przeszkadzała w spaniu, że wyszedł i wyciągnął wtyczkę” – opowiada ks. Scaber.

Wezwano lekarzy, którzy zaczęliypytywać chorego o podstawowe informacje na temat jego życia, czy je kojarzy, dali mu kartkę, żeby sprawdzić czy potrafi pisać. Ksiądz odpowiadał prawidłowo i logicznie. Stwierdzono, że nastąpiła poprawa. Jeszcze przez tydzień przebywał w szpitalu w Karagandzie na obserwacji, ale już nie potrzebował żadnej interwencji lekarskiej. „Uzdrowienie było natychmiastowe i trwałe. Późniejsze badania tomografem komputerowym głowy, które zostały wykonane w Łodzi potwierdziły, że nie ma żadnego śladu przebytego wylewu krwi do mózgu”.

W procesie w sprawie cudu ks. Mariusz Kowalski był przesłuchiwany jako pierwszy. W dalszej kolejności osoby, które modliły się w jego intencji, a także ci którzy odwiedzali go w szpitalu oraz dwóch lekarzy. „Rektor Akademii Medycznej w Karagandzie, który

zadeklarował się jako osoba niewierząca, ateista od urodzenia i pochodzenia żydowskiego – jego matka była Żydówką, co bardzo podkreślał – stwierdził, że jako profesor medycyny, członek wielu gremiów międzynarodowych nie jest w stanie tego wytłumaczyć przy pomocy aktualnej wiedzy medycznej. Na końcu stwierdził, że jeśli byłaby taka potrzeba, to on ateista i Żyd może jechać do Watykanu potwierdzić, że medycyna nie jest w stanie tego wytłumaczyć. On nie określał tego cudem. On mówił, że nie wierzy w żadnego Boga” – mówi wspomniany wyżej ksiądz.

Zachęcam zatem do „zaprzyjaźnienia się” z naszym nowym błogosławionym.

Serdeczne pozdrowienia od naszej Wspólnoty Księży, Sióstr i Parafian z Tajynszy.

S. Margareta

**Uroczystość
beatyfikacyjna
11 września 2016 roku**

Była to wielka uroczystość dla nas wszystkich, ale szczególnie dla Kazachstanu. Bł. Ks. Władysław Bukowiński jest pierwszym błogosławionym z tej ziemi. Chociaż jego życiowe drogi prowadziły przez Polskę i Ukrainę, a ostatecznie i Kazachstan, to właśnie Kazachstan stał się dla niego szczególnym „terytorium” uświęcenia. To tutaj oddał się bez reszty pracy duszpasterskiej posuniętej do całkowitego zapomnienia o sobie. Służył żyjącym tu ludziom, by przyprowadzić ich do Boga i dać im Boga. W tej posłudze nie

Dokończenie na stronie 13

Popis w Parlamencie Europejskim niejakiego Lewandowskiego, nie tego mistrza footballu, ale faceta z Lublina. Tyle o nim wiem, a reszty można by się dowiedzieć z Wiki, ale czy warto? Wiadomo, że to jedna z popłuczyn Unii Wolności, a w każdym razie tej gildii, której zawsze zależało tylko na tym żeby Polska jak najszybciej pozbyła się tego, co pokolenia nabyły i przetworzyły w nasz etos narodowy. Wiadomo, że początki jego sięgają obecnie właśnie 1050 lat wstecz. Ale pierwociny wykorzeniania tamtych wartości, to też nie inicjatywa ostatnich czasów. My trochę idealizujemy naszą historię, i ufając jakiejś zbiorowej amnezji zapominamy o tych, którzy w latach naszej niewoli narodowej, kiedy ważyły się losy nie tylko Polski jako państwa chwilowo wymazanego z mapy Europy, ale także los narodu skazanego na wyćpienie, może wtedy nie fizyczne, ale moralne, kulturowe, na wymazanie tożsamości, czepiali się cudzych klamek, wchodzili w układy z zaborcami, dla kariery zostawali prawosławnymi, lub łądowali sobie przed nazwiska von. Wielu zresztą nawet bez tych renegackich zapędów zachłysnęło się płytkim pozytywizmem, upatrując w jego ideach wartość zastępczą dla tożsamości budowanej od Mieszka i Wojciecha. A w naszych czasach to towarzysze dopraszali się u radzieckich, by tamci ich tyłków pilnowali, bo naród jakoś za blisko podchodzi. Teraz, podobni tamtym towarzyszom, „przywódcy” narodu zamiast na Kreml wałęsają do Brukseli i Strasburga. Że też to nasienie judaszowe tak szybko się odradza?

Ale to, co dziś się obserwuje, a jestem pod wrażeniem donosu na Polskę w wykonaniu wykarmionego na unijnych srebrnikach europośla, to jest już coś wręcz obrzydliwego. Oczywiście nie brakowało odwołania się do „naszego papieża”. Ciekaw jestem czyjego i kto jeszcze będzie się chował za plecami św. Jana Pawła II? A co więcej, usłyszeliśmy,

że o Polskę martwią się jej przyjaciele i cały świat demokratyczny. Od takich przyjaciół zachowaj nas Panie, a świat demokratyczny, o którym europoseł mówił, to nikt inny tylko jego kumple, którzy pojęcia demokracji używają jako maczety i baseballówki do gnębienia wszystkich, którym z nimi nie jest po drodze.

Prof. Legutko dobrze mu odpowiedział, ale jeszcze plastyczniej, choć zarazem lapidarnie, ujął to poseł Węgier.

Wstyd by było, gdyby ze względu na narodowość trzeba było się z takimi ludźmi identyfikować.

A przecież chodzi im tylko o jedno, o wwindowanie do ław rządowych tych, którzy w niesławie zeszkli z boiska. Nieważne, ile zostawili tych nieczystości, które trzeba będzie latami usuwać. Takie dosłowne czyszczenie stajni Augiasza. Nieważne, że wreszcie można mieć nadzieję, iż prawo będzie jednoznacznie przeciwko złodziejom i szkodnikom. Nieważne, że przecież to, co się dzieje w Polsce trzeba poddać nie emocjom, ale osądowi zdrowego rozsądku. Ważne jest tylko jedno: władza, pieniądze i prawo kaduka na usługach kliki.

Z kolei europoseł, socjalista włoski Gianni Pittella perorował:

Chcę powiedzieć mieszkańcom Polski: my walczyliśmy dla was, u waszego boku, a nie przeciwko wam” - mówił Pittella. Jego zdaniem pewne działania podejmowane przez polski rząd zagrażają praworządności. Prosiłbym polski rząd: bądźcie spokojni, zaufajcie swemu narodowi. Nie możecie traktować narodu jak zakładnika swoich lęków (...) Dlaczego boicie się Trybunału Konstytucyjnego? Skąd czystki w mediach?” pytał Pittella

Jego zdaniem „pewne działania, podejmowane przez polski rząd, zagrażają praworządności. ...

Uroczystość beatyfikacyjna 11 września 2016 roku (dokończenie)

przeszkodziły mu nawet łagry, do których go kilkakrotnie zsyłano. Piękne jest jego zdanie: „*Gdziekolwiek byłem, widziałem głęboką celowość tego, że właśnie tam byłem*”. Umiał iść do ludzi i szukać ich w ich warunkach życia. Wiedział, dlaczego został kapłanem. Do dziś żyje wielu ludzi, którzy spotkali w swoim życiu bł. ks. Władysława. Niektórzy z nich wzięli udział w jego beatyfikacji.

Do Karagandy na ten dzień przyjechali przedstawiciele wszystkich parafii kazachstańskich, ale także pielgrzymi z Niemiec, Polski (była też prezentacja z przedstawicielami Kancelarii Prezydenta RP). Po Mszy św. beatyfikacyjnej o godz. 17-tej w dolnym kościele karagandyjskiej Katedry przy ołtarzu z relikwiami bł. ks. Władysława kapłani z Polski i ci, którzy pracują w Kazachstanie sprawowali dziękczynną Mszę św., w której uczestniczyli przede wszystkim Polacy, ale nie tylko. Potem delegacja rządowa złożyła kwiaty przy relikwiiach.

S. Margareta

Zaiste zdumiewająca troska o naród polski i o rząd, który wcale nie reaktywuje jako zakładnika ani własnych rodaków, ani nie jest zakładnikiem swoich posłów lęków. To kumple tego posła się boją, żeby im się Unia nie rozsypała, bo ileż to kasy by ich minęło? Boją się też, żeby Polska i inne kraje nie pozostały sobą, bo to gmatwa szyki tych wszystkich, którzy na nihilizmie chcą budować Europę, choć powinni zrzucić łuski z oczu, by wreszcie dostrzec, że to właśnie ich dom zaczyna się palić. Każdy Europejczyk jest z natury rzeczą członkiem wspólnoty zwanej Unią

Dokończenie na stronie 16

oraz Ewangelię na rzecz hedonistycznego samouwielbienia czy samozadowolenia. Antydekalog dla wpływowych środowisk lewacko-liberalnych to podstawa budowy tzw. „nowego człowieka”, człowieka bez wartości czy zasad moralnych. Jest to proste dziedzictwo Wielkiej Rebelii Francuskiej i jej terroru, który rozpoczął masonską budowę właśnie owego „nowego człowieka”. Później jej spadkobiercy w postaci lewicowych/lewackich ideologii narodowego socjalizmu, komunizmu bądź liberalizmu kontynuowali to dzieło. O ile dwa pierwsze posługiwały się brutalną siłą, o tyle liberalizm postawił na przebudowę świadomości w kierunku antychrześcijańskiego egocentryzmu, którego nie da się budować inaczej niż poprzez odrzucenie wszelkich wartości. Oparty na zaprzeczeniu praw boskich, lewacki liberalizm stawia na „rozmiękczenie” norm społecznych i moralnych. Psychologiczna wojna szatana o rząd dusz posługuje się właśnie taką bronią, którą usłużnie dostarczają jej środki masowego przekazu.

Jest stare polskie porzekadło: „diabeł nie bierze złego, bo wie że i tak jego”. Społeczeństwa zachodnie zostały już całkowicie „rozmiękczone” do tego stopnia, że widać tam wyraźnie upadek cywilizacji chrześcijańskiej. Teraz już wojna na tym froncie weszła w fazę bezpośredniego ataku na Kościół w jego najtrwalszych bastionach. Otwarte prześladowania odnoszą tutaj zawsze skutek odwrotny do zamierzonego, co widać było choćby na przykładzie Polski po II wojnie światowej. Autorytet Kościoła Katolickiego pod wodzą Prymasa Tysiąclecia ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego był faktycznie jedynym autorytetem w zniewolonej przez komunizm Polsce i promieniował na cały ówczesny obóz państw bloku sowieckiego. Przyniosło to wielki owoc w postaci wyboru na Stolicę Piotrową Świętego Ojca Jana Pawła Wielkiego.

Jego pontyfikat walnie przyczynił się do upadku komunizmu.

Już w czasach PRL lewactwo liberalne uwiło sobie „gniazdko V Kolumny” przeciwko Kościołowi w mediach. Już wtedy próbowano na łamach „Tygodnika Powszechnego” czy „Więzi” atakować Prymasa Wyszyńskiego oraz wytwarzać zamieszanie wokół wartości katolickich. Pamiętamy przecież konflikt między Tadeuszem Mazowieckim oraz „Tygodnikiem Powszechnym” i „Więzią” a Księdzem Prymasem Wyszyńskim z 1968 roku. To tylko jeden z przykładów, a można je mnożyć. Lewackie środowiska, związane z „Tygodnikiem Powszechnym” coraz bezczelniej podważały nauczanie Kościoła, coraz mocniej wysuwały się na jawnie antykatolickie narzędzie, które tworzyło tzw. „otwarty katolicyzm”, będący w rzeczy samej zaprzeczeniem litery Ewangelii i antydekalogiem. Mamiąc niezorientowanych czytelników używaniem w podtytule przymiotnika „katolicki” w rzeczy samej zawsze stał na pozycji bezprecedensowej walki szatana z katolicyzmem i chrześcijaństwem jako takim. To był właśnie ów „swąd szatana”, który miał na myśli już Ojciec Święty Paweł VI oraz nasz Święty Ojciec Jan Paweł Wielki. Nic przeto dziwnego, że Największy Polak wszechczasów wyrażał wielokrotnie swoje rozczarowanie działaniami tegoż pisma, mieniacego się „katolickim”, z którym kiedyś nawet sam współpracował. W liście z 15 maja 1995 z okazji jubileuszu 50-lecia tego czasopisma napisał:

„Rok 1989 przyniósł w Polsce głębokie zmiany związane z upadkiem systemu komunistycznego. Odzyskanie wolności zbiegło się paradoksalnie ze wzmocnionym atakiem sił lewicy laickiej i ugrupowań liberalnych na Kościół, na Episkopat, a także na Papieża. Wyczułem to zwłaszcza w kontekście moich ostatnich odwiedzin w Polsce w roku 1991. Chodziło o to, aby zatrzeć w pamięci społeczeństwa to, czym był Kościół w życiu Narodu na przestrzeni

minionych lat. Mnożyły się oskarżenia czy pomówienia o klerikalizm, o rzekomą chęć rządzenia Polską ze strony Kościoła czy też o hamowanie emancypacji politycznej polskiego społeczeństwa. Pan daruję, jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów odczuwało się jakoś także w 'Tygodniku Powszechnym'. W tym trudnym momencie Kościół w 'Tygodniku' nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd oczekiwać: 'nie czuł się dość miłowany' – jak kiedyś powiedziałem (...)”

Po odejściu do Domu Ojca w 2005 roku „Tygodnik Powszechny” ukazał już w pełnej krasie swoje satanistyczne oblicze lewacko-liberalne. Ramię w ramię z „Gadzinówką Wybiórczą” tudzież innymi szmatławcami polskojęzycznymi przypuścił wielki, frontalny atak na wartości katolickie. Serwowane z lubością paszkwile ks. Bonieckiego, ks. Sowy, ks. Lemańskiego czy wreszcie ks. Charamsy—to tylko niektóre z tzw. „rzetelności”, prezentowanych na łamach tego pisma. „Tygodnik Powszechny” uzupełnia w dużym stopniu treści, zawierane w napastliwych wypowiedziach „Gadzinówki Wybiórczej”. Nie bez kozery ks. Prof. Dariusz Oko w rozmowie z redaktorami Tomaszem Terlikowskim i Ryszardem Gromadzkim dla TV Republika podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie nazwał współpracowników „Tygodnika Powszechnego” (także księży) „zdrajcami Kościoła”. Nic dodać, nic ująć.

Ostatnia akcja „Tygodnika Powszechnego” (prowadzona do spółki z innymi antykatolickimi szmatławcami) pod obłudną nazwą: „Przekażmy sobie znak pokoju” była już przekroczeniem wszelkich norm. Zwłaszcza dla pisma, które—powtórzę—zawiera w podtytule przymiotnik „katolicki”. Natrętna propaganda homoseksualizmu posłużyła się bluźnierczym zrównaniem krzyża z

teczą, będącą symbolem dewiacji seksualnych. Dodatkowo, nie była to już tylko stricte akcja medialna tylko i wyłącznie „Tygodnika Powszechnego”, ale także ideologicznych, antychrześcijańskich i antykatolickich sojuszników tego pisma (GW, Lisweek, TVN i im podobnych). Ich wspólna akcja zaowocowała masowym pojawianiem się plakatów w innych niż Kraków, polskich miastach. Koordynacja działań świadczy o premedytacji ataku antykatolickiego lewactwa. Przypomnijmy dla porządku, że redakcja „Tygodnika Powszechnego” mieści się w Krakowie, zaś ów zmasowany atak został przeprowadzony zjednoczonymi siłami lewactwa nie tylko tam.

Odsłonięcie przyłbicy „Satanizmu Powszechnego” doprowadziło do częściowego „cudu”. Owym „cudem” było dawno oczekiwane poruszenie wśród Episkopatu Polski. Najpierw ks. Kardynał Stanisław Dziwisz potępił tę akcję, za nim zaś Komisja Episkopatu Polski stwierdzając jednoznacznie, że katolik nie powinien brać w tej akcji udziału. „Cud” był jednak tylko częściowy, bowiem za słowami nie poszły konkretne czyny, które mogłyby zlikwidować satanistyczne ognisko antykatolickiej „V Kolumny” przez stanowczy zakaz używania w podtytule tego pisma określenia „katolickie”. Dodatkowo warto nadmienić, że redakcja „Tygodnika Powszechnego” usadowiła się niczym żmija „na piersiach Kościoła”, jako że mieści się ona w budynku, który jest własnością Krakowskiej Kurii Arcybiskupiej przy ulicy Wiślniej.

A przecież ks. Kardynał Stanisław Dziwisz jest biskupem miejsca, na którego terenie znajduje się redakcja „Tygodnika Powszechnego”. W Kanonie 823 Kodeksu Prawa Kanonicznego czytamy:

§ 1. Dla zachowania nieskazitelności wiary i obyczajów, pasterze Kościoła posiadają prawo i są zobowiązani czuwać,

by wiara i obyczaje wiernych nie doznały uszczerbku przez słowo pisane lub użycie środków społecznego przekazu. Przysługuje im również prawo domagania się, aby przedkładano do wcześniejszej oceny to, co ma być wydane przez wiernych na piśmie, a dotyczy wiary lub obyczajów, a także odrzucania pism przynoszących szkodę prawdziwej wierze lub dobrem obyczajom.

§ 2. Obowiązek i prawo, o których w § 1, należą do biskupów, zarówno poszczególnych, jak i zebranych na synodach lub Konferencjach Episkopatu - w odniesieniu do wiernych powierzonych ich pieczy. Natomiast należą do najwyższej władzy kościelnej - gdy idzie o cały Lud Boży.

W swoim artykule pod tytułem: „Tygodnik Powszechny—niekatolicki. Co na to biskup miejsca kard. Dziwisz ?” ksiądz dziekan dr Jacek Jan Pawłowicz pisze:

„Czy nie nadszedł już najwyższy czas na podjęcie odważnej decyzji i zakazać TP używania w podtytule określenia „katolicki”? A rzeczywiście potrzeba tu odwagi, gdyż po takiej decyzji na Biskupa miejsca, jak hieny, rzucą się wszelkiej maści członkowie tzw. „kościola otwartego”. Módlmy się więc o ducha odwagi i mądrości dla Pasterza Kościoła krakowskiego. Nadszedł najwyższy czas aby zatkać tę szczelinę przez którą do Kościoła w Polsce wdziera się swąd szatana. Nadszedł czas po imieniu nazwać sługi złego. Niech TP publikuje swojego herezje i „mądrości”, ale już nie pod szyldem „katolickiego” tygodnika.”

Lewackie „rozmiękczenie mózgów” trwa. Jest ono nastawione na powolną, można rzec ewolucyjną zmianę świadomości Polaków. Głównymi kierunkami ataku jest wiara katolicka oraz młode pokolenie. Właśnie tutaj powoli lewacka propaganda stara się zamazać kontrast między Złem a Dobrem, między literą Ewangelii a

hedonistycznym, niemal narcystycznym przeżywaniem życia doczesnego. Egocentryzm ma zastąpić Ewangelię, a wyrazem tego ma być tzw. „poprawność polityczna”, tworzona przez człowieka, w oderwaniu od wszelkich wartości, które w ostatnich dwóch tysiącach lat stworzyły i są podstawami naszej cywilizacji.

Mają rację wszyscy ci (a jest ich wielu), którzy twierdzą, że żyjemy w czasach apokaliptycznych. Pod hasłami tzw. „praw człowieka” i „swobód obywatelskich” prowadzona jest globalna walka z religią chrześcijańską wszystkich wyznań. Bardzo niewiele wie, że od roku 1997 roku w USA zalegalizowano pierwszy tzw. Kościół Satanistyczny, zaś w roku 2014 satanistyczne organizacje na Florydzie wygrały w sądzie sprawę w kwestii uznania tego, że religia satanistyczna, włączająca podejrzone obrzędy, ofiary rytualne, czarne msze i kult diabła, jest równoważącą religią z innymi religiami świata. Podobne sekty istnieją w Europie Zachodniej (np. Dzieci Szatana we Włoszech). Legalizacja tych organizacji nie byłaby możliwa bez silnego wsparcia ze strony antychrześcijańskiego lewactwa. Jest to bowiem działalność, wymierzona przeciwko wszelkim prawom Bożym ale i ludzkim. Jak bowiem inaczej przedstawić dążność do tworzenia Antydekalogu, który—siłą rzeczy—pochwała wszelkie zbrodnie, dewiacje i anarchię ?

Wpisując się bluźnierczą akcją „Przekażmy sobie znak pokoju” w propagandę dewiacji oraz wspieraniem wszelkich działań, zmierzających w kierunku unicestwiania chrześcijańskiego i ewangelicznego porządku świata „Tygodnik Powszechny” stawia się wprost po stronie sił Zła, zaś bluźniercze nadużywanie określenia „katolicki” dopełnia obrazu, właściwego „Satanizmowi Powszechnemu”.

Stanisław Matejczuk

Z życia Polonia Semper Fidelis: Spotkanie z Senator RP Anną Marią Anders



**Senator Rzeczypospolitej Polskiej Anna Maria Anders i Koordynator Główny Polonia Semper Fidelis Stanisław Matejczuk podczas spotkania w El Paso, TX
(fot. własna PSF)**

W dniu 28 września w siedzibie El Paso County Historical Society odbyło się spotkanie z Panią Senator RP Anną Marią Anders, Ministrem Pełnomocnym Rządu RP do spraw Dialogu Międzynarodowego. Tematem spotkania były stosunki polsko-amerykańskie oraz sprawy Polonii w południowo-zachodnich stanach.

Na spotkanie przybyli również Aleksander Adamczyk, reprezentujący Klub Gazety Polskiej w New Mexico oraz Stanisław Matejczuk, Koordynator Główny Polonia Semper Fidelis.

Poruszano sprawy bieżącej polityki w obu krajach oraz współdziałania Polonii w kształtowaniu polityki historycznej na terenie USA. Nie brakło również tematyki historycznej, jako że Pani Senator jest córką legendy II wojny światowej Generała Władysława Andersa. Zainteresowani mieli też okazję nabyć autobiograficzną książkę autorstwa Pani Senator pod tytułem: „Anna Maria Anders—córka generała i piosenkarki”.

Na specjalne słowa uznania zasługuje organizatorka spotkania Pani Lidia Lamczyk, która sprawiła, że spotkanie odbywało się w ciepłej, niemal rodzinnej atmosferze.

W dniu 30 września Pani Senator otworzyła również wystawę na bazie wojskowej w Fort Bliss niedaleko El Paso, poświęconą Generałowi Władysławowi Andersowi. Z El Paso odleciała do Nowego Jorku, gdzie na organizowanej corocznie przez tamtejszą Polonię Paradzie Pułaskiego przewodniczyć będzie jej jako Marszałek Parady.

Podczas spotkania Koordynator Główny Polonia Semper Fidelis Stanisław Matejczuk zaprosił Panią Senator Annę Marię Anders do wizyty w Domu Polskim w Albuquerque. Zaproszenie zostało przyjęte, a datę spotkania ustalono na przełom marca i kwietnia przyszłego roku.

**Wszelkie listy prosimy kierować na adres
redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com**

Strona 16

Parlament Europejski na straży bankrutów? (dokończenie)

Europejską i nie potrzebuje przepustki do niej ani od pana Pittelli, ani od pana Lewandowskiego, ani od nikogo im podobnego. Nie wiem też skąd pan Pittella dowiedział się, że istnieje obawa przed Trybunałem Konstytucyjnym. Powiedział: „*boicie się...*” Ciekawe, kto, jego zdaniem, się boi? Rząd a może naród? Ludzie wypowiadający tak bzdurne rzeczy, i to za duże pieniądze, jakie im płacą, to dostateczny powód, by nie ufać dykasteryom unijnym. Pan Pittella broni Trybunału Konstytucyjnego, jak gdyby nie wiedział, że stał się on głównym filarem opozycji przeciwko legalnemu rządowi, tracąc tym samym swój status władzy sądowniczej. Udawanie wariata, to nie żadne panaceum na kłopoty, jakie dziś ma Unia w Polsce, a także w wielu innych krajach, które dalekie są od tego, żeby stać się koloniami bonzów unijnych.

Byłoby dobrze, gdyby władze UE zaczęły wreszcie myśleć kategoriami wspólnego dobra, do którego obrony są zobowiązane, a nie wtykały nosa w nieswoje sprawy. Należy do nich wspieranie ludzi i systemów nacechowanych znamionami chorobowymi. Niech ktoś powie, że nie wygenerowały ich poprzednie rządy w Polsce? Czystki, nad którymi biada pan Pittella nawet się jeszcze nie zaczęły, ale najwyższy czas, by to nastąpiło, bo inaczej długo jeszcze w naszym życiu publicznym panoszyć się będą aferzyści samozwańczy politycy, szmalcujący na Polskę, gdzie się da. I długo jeszcze byle matoł będzie wykrzykiwał, że PiS niszczy Polskę. Rzeczpospolita jest wyrozumiałą matką, ale i to ma swoje granice.

Zygmunt Zieliński